Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



„Trop" pilnuje.

Fot. Jan Bończa-Markowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 29 (633). 18 LIPCA 1931 R.

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru. Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.



Fragment z Siemieńskiego Stawu. Fot. Jan Bończa-Markowski.

ZESZŁOROCZNEGO LIPCA...

Było to właśnie przed rokiem. Wracałem po wielomiesięcznej nieobecności w kraju, z łowieckiej wystawy w Lipsku.

Myśl oczywiście wyprzedzała miarowe huczenie kół kurjera, który, nie licząc przerw, (zatrzymywałem się bowiem w drodze), wytężonym pośpiechem przeszło trzydziestu godzin prowadził ku polskiej granicy. Miał się już teraz, wkrótce po północy, wtoczyć na dworzec Poznania.

Czekało na mnie kilka zaproszeń na kozła, jedno zwłaszcza, z którego chciałem zaraz nazajutrz skorzystać... Myśl właśnie biegła ku niemu, pełna napięcia i wyczekiwań, zaostrzona długim okresem postu we wszystkiem, co tyczy żywego sprawowania i praktycznego poświęcenia się rzeczy łowieckiej. Jak najpiękniejsze wakacje uśmiecha się człowiekowi po długich miesiącach ogromnego miasta możliwość szerokiego oddechu i dalekiego spojrzenia w knieję, której dary, poprzez wszelkie światła stolic i wspaniałości świata pozostaną największym urokiem, w wartościach swych nieprzyćmione i niezatarte niczem. Nadzieja bliskiego użycia wrażeń, jakich nie danem mi było kosztować przez blisko rok, przemieniała się z każdą chwilą zbliżania się pociągu, który pełną parą walił ku moim stronom, nieuciszoną radość. A kiedy, już przed samem dojściem na stację dla mnie końcową, kołysał się biegiem huczącym śród pól, pachnących lipcem i lasów, których wonne prądy w nocy pogodnej chłonąłem nieraz o tej samej porze, ogarnęło mnie zwolna u otwartego okna przedziału, zrozumienie siły niepożytej, jaka przez myślistwo łączy człowieka z ziemią, z każdym źdźbłem trawy i pniem drzewa leśnego, a lepiej jeszcze — z całym obszarem życia lasów i pól we wszystkich jego zapachach i barwach, we wszystkich odcieniach...

Poznawałem, przed samym Poznaniem, w krajobrazie jasnej, letniej nocy niejeden okraw lasu i szmat pola, który przemierzyć mi przyszło ze strzelbą na ramieniu. Był mi bliższy, bardziej zrozumiały, głębiej dostępny przez wspomnienie dawnego nasycenia go tem uczuciem, jakiego wartość określił kiedyś w świetnej recenzji z **„Szczęśliwych dni"** Badeniego, Adam Grzymała - Siedlecki, mówiąc, że w przeciwieństwie do laika, który przyrodę widzi, myśliwy jej **doznaje.** Przekonywałem się tutaj mocno

i namacalnie ile jest prawdy w tem stwierdzeniu, jak trafnie określa ono stosunek uczuciowy człowieka napiętnowanego pasją myśliwską do świata, w którem się ona wypowiada w akcentach subtelniejszych nieraz, niżby to z huku strzałów sądząc, można było powiedzieć.

Jednak rozgwar i światła dworca, tłum na stacji i powitania w domu odsunęły odemnie tymczasem wszelką pamięć o bliskiej wyprawie do lasu. Kiedy nagle — dzwonek telefonu, niespodziewany o tak późnej porze. Poznaję z miejsca głos pana Franciszka, towarzysza i gospodarza niejednej myśliwskiej wyprawy, któremu kartką z drogi doniosłem o nocy przybycia. Jedno krótkie pytanie, odkładające na później szczegółowe relacje z podróży: — Czy mam ochotę na kozła?

Było sporo powodów, żeby się wytłómaczyć. Zmęczenie, sztucer nie wstrzelany od roku, obież pewno niecałkiem w komplecie... Ale wahań żadnych. Jadę!

Jak się to stało, że się mimo wszystko i mniej więcej zaopatrzony w co trzeba wybrałem, nie pomnę. Za pół godziny klaskały po bruku kopyta pary kasztanów pana Franciszka. Jedziemy na podjazd.

Jeszcze dwadzieścia minut i polowczyk wytoczył się już ku podmiejskim zabudowaniom Poznania. Stąd niedaleko do lasu. Świt się właśnie różowym obrzaskiem podnosi nad wstęgą drzew. Nie jesteśmy spóźnieni, w samą porę przyjmie nas leśne wnętrze, wypełnione jeszcze nocą, o cieniach coraz niklejszych. Rano rośne, zielone i pełne rozkwita w gęstwinach, jest aż zawrotne od rzeźwych zapachów, aż perłowe w oparach, jakiemi wiotko musują łęgi, zarośla, poręby.

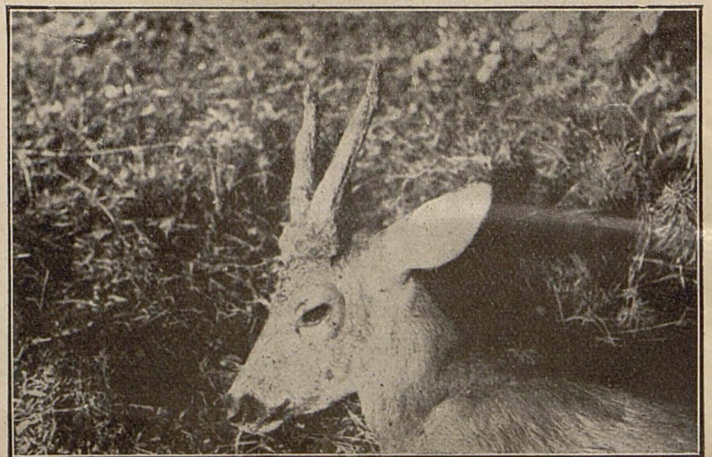
Zapomniałem o wszystkiem co było, co poprzedza zawiłą przeszłością wielu miesięcy, a teraz ostatnio długich dni przybliżających, ten niespodziany świt. Nic się napozór nie odmieniło, odkąd w tej samej otoczy dawniej nieraz witałem wstający dzień. Chyba jeno mocniejsze jest w barwach i rosie to ranne budzenie się lasu, dla którego człowiek radby poświęcić każdą cząstkę swych najpiękniejszych snów...

Gdy wtem widok sarn, przecinających dukt przed końmi, a razem opowiadanie pana Franciszka, który wtajemniczać mnie począł półgłosem w tegoroczne nadzieje rewiru, zbudził we mnie już czysto myśliwskie doznania, wiodące wzmożoną uwagą zmysłów pragnieniem, nadewszystko silnem, spotkania kozła trudnego. A właśnie mijamy oddział, kędy się trzyma on, piękny — cel podjazdu naszego i pożądania. Przerywały słowa towarzysza gęsto w zaroślach buchające piania kogutów bażancich, ich łopoty mocne i rwane, przećwierki i gwizdy ptasze, siejące się zewsząd pełnem brzmieniem symfonji lasu, wstającego ze snu nocy letniej. Słuchałem w skupieniu każdego słowa, uważnie patrząc w młodniaki, gdzie już się mógł był ukazać nasz kozioł...

— Trudno będzie i nie od pierwszego razu — twierdził pan Franciszek, a swoją drogą cuda opowiadał, zapalając się, o tym rogaczu, który się zwał „starościńskim" (bo pan starosta za nim uparcie, bez skutku wszakże, jak dotąd, chodził niejednokrotnie), a którego szczęśliwe spotkanie mogło nam teraz (kto wie? — przy dobrym strzale) jakie trofeum bajeczne pod nogi rzucić!?

Spragniony byłem chociaż widoku pięknego zwierza, już o strzał mniejsza. Niechby się chciał przesunąć cieniem czerwonym w zaroślach, albo dukt przebiec przed końmi i zostać w pamięci obrazem niezapomnianym. Aleć pola są blisko, a łany zbóż wysokie, bodaj to w lesie siedzieć staremu wydze, kiedy ma obok pewniejsze i lepsze gęstwiny.

Aż wtem, w rządku sosnowego zagajnika mignęła nam się jasna suknia sarny. Zbyt szybko przeszły konie, byśmy zdążyli zobaczyć, co to? Zaraz też stangret powoli nawrócił i już znowu otwierają się przed pilnym wzrokiem rząd po rzędzie gęstwiny sosenek. Mijamy je coraz dalej, aż nagle — jest. Łeb schylony, stangret tylko, który zatrzymał konie i podniósł się na siedzieniu, rzuca na przydechu i szybko słowo magiczne — kozioł!



Mój rogacz. Fot. Al. Janta-Połczyński.

Zeskoczyłem. Polowczyk już się oddala, miękko chrzęszcząc na trawiastym dukcie. Niewyraźnie widzę, przekreślają mi zwierzę kiście gałęzi sosnowych. Łeb podniósł, gdy polowczyk ruszył. Dość głęboko stoi w zagajniku, jednak dostrzegam, że między łyżami rysuje się jasno, dziwnie jasno, ale i dość gęsto poroże. Polowczyk stanął na drodze, odjechawszy kilkadziesiąt kroków. Pan Franciszek i stangret obserwują przez szkła. Mogą nawet i kozła zobaczyć, zatrzymali się bowiem na garbie pagórzystego lasu i mają stamtąd widok rozległy na ubocz prosłą młodniakiem, w którym spotkaliśmy sztukę. Przyłożyłem do ramienia sztucer, przez lunetę chcę, gotów do strzału, sprawdzić wartość niepewnych parostków.

Szybko jednak opuściłem strzelbę. Najwyraźniej, najbezczelniej mignął mi łbem w okularze: dwa mocne szpikulce gęstwią się między łyżami i zwodzą. Toż to śpiczak, psiakrew i nic więcej...

Spojrzałem ku gospodarzowi, rozkładając ze zniechęceniem ręce. Ale co to? — obaj tam na polowczyku, pan Franciszek i stangret dostali zupełnego szału. Machają strzelbą i batem, kiwają ku mnie, hieroglify jakoweś kreśląc dłońmi w powietrzu i wy-

raźnie żądają, żebym strzelał. Żebym strzelał szybko i bez namysłu... Co jest? u licha ciężkiego...

Pokazuję jak mogę palcami, ukradkiem, czując, że się gdzieś blisko mnie zatrzymał wzrok kozła-smarkacza, że to śpiczak i że mowy niema. Mam ochotę nawet spłoszyć go czemprędzej, żeby wogóle nie było kwestji. A tamci swoje. Nalegają wyraźnie i dziko. Zupełnie powarjowali.

Raz jeszcze buntuję się przeciw tym niezrozumiałym rozkazom, ale, by się do reszty upewnić i mieć spokojne sumienie, odnowa przykładam szkła. Prawda, że nie jest łatwo przez gąszcz obserwować, kiedy co chwilę traci się z oka żerującego w głębi zagaju sarnika. Nie zniknął mi jednak, jak dotąd, trwa ciągle w tym samym rządku, więc, zły już wprawdzie i z postanowieniem absolutnego odmówienia posłuchu gospodarzowi, który wyraźnie prowokuje do strzału, nie cofam szkieł, pragnąc przekonać się raz jeszcze i poraz ostatni, że nie mam poco lufy ku niemu kierować. Zaniepokoił się teraz koziołek, a może widzi mnie wreszcie? — dość że szyją kręci, wysoko łeb niosąc. Gruby wprawdzie w tykach (myślę, przyszłość ma piękną w porożu) ale niemniej i nadal tak samo śpiczak...

Nagle zrozumiałem. Przez odłamek sekundy, gdy łeb przesunął na lewo, widzę grube nasadzenie poroża o barwie niezwykle jasnej, postrzegam, że jest jakby omotane pajęczyną, że zwykły połysk rogu miejsca ustąpił matowemu cieniowi scypułu.

Nacisnąłem przyśpiesznik, podnosząc do oka sztucer, szybko i gorączkowo. Między gałęźmi zamajaczyła jasna plama szyi, kozioł ruszył. Ale w tej chwili głuchym łomotem przetoczył się twardy stuk strzału.

I zaraz po nim okrzyk triumfu na bryczce. — Nareszcie!... Biegł mnie uściskać pan Franciszek. — Już z bryczki chciałem walić — krzyczy do mnie. — Byłby piękny efekt!...

Zapewniam go, że wiele pewniej byłoby piękne pudło, ale cieszymy się obaj, wiedząc, że przyszło nam trafem niespodziewanym zdobyć dość zagadkowe trofeum... Biegniemy więc przez zagajnik ku rogaczowi — chwila nerwowego szukania. Gdzież jest? — Widziałem — uspokaja mnie pan Franciszek — widziałem strzał. Leży... Muszę przyznać, że nic nie widziałem, bo mi w chwili strzału kozioł zniknął z oczu. Potwierdza się jednak obserwacja gospodarza — jest. Padł w ogniu, kula siedzi w miejscu, gdzie komora przedłuża się w szyję. Schylam się szybko i chwytam łeb w obie ręce. Między łyżami dwie tyki wysokie, niezwykle grube w różach, całe we mchu jeszcze i nienazbyt twarde. Sztuka mocna w mięsie i wyrośnięta, tylko łeb nic nie ma ostrego wyrazu kozła — przekonaliśmy się wkrótce, że nie bez powodu.

Ale zostawmy anatomję innym. Miałem kozła i to tego rana. Trofeum tem bardziej cenne, że o istnieniu tej sztuki, kryjącej się pewno w gęstwinach, zbyt leniwej aby po lesie wędrować, odosobnionej widocznie do reszty, nikt w rewirze nie wiedział. Niemało też zdziwił się leśnik, gdyśmy mu wkrótce podwieźli niespodziewanego „outsider'a" sarn owoczesnych. Winszował, a jakże. Zatykał mi na kapelusz, gałązkę jedliny, zbroczoną w farbie. Miałem przez miasto wracać z tą dekoracją. Tak przynajmniej chce pan Franciszek, gdyśmy już w pełnem słońcu, dzieląc się jeszcze rannem przeżyciem ruszyli raźno ku domowi. Zrzędzi trochę, żem się za długo namyślał, zamiast na jego znak i na jego odpowiedzialność strzelać, bo dobrze widział, — powiada — że miałem przed sobą myłkusa, czy inne dziwo...

Bronię się oczywiście półżartem, a myślą wracam do zespołu wrażeń i zestawienia ich z dniem wczorajszym, pełnym trofeów martwych już, a wspaniałych na ścianach lipskiej wystawy. Jakaż ogromna suma radości wielce myśliwskiej zgasła tam i zastygła w pęki poroży i wieńców, skór i szabli. Wspomnienia obcych ludzi, których wartość już nie trwa, zakrzepła i uśmiercona raz na zawsze, chyba że nurt jej podgłębny odnowić możemy my, żywi, w dniu leśnym i zielonym, przez który łatwo zrozumieć, że strzał niezawsze jest szczęściem.

Ale mnie ten dzisiejszy raduje i cieszy, bo się wypełnił bez zgrzytu i na wyrzutku sarniego rodu. Coraz głębiej nasycony strzałem, wyczerpawszy zapas niepokoju i chęć zdobyczy, coraz częściej wiem, że szczęście łowcy nie rośnie z gromadzeniem łupu — jeśli w sercu przesilił się już i wygasł pierwotny zupełnie głód dziczy, tęsknota przygody, żądza sycenia wzroku i słuchu i serca lasem żyjącym, przestrzenią pachnącą wiatrem — jeśli już zcichła wrażliwość młoda na zew nieuchwytny kniei, na ten zew, który duszę zasnuwa przejrzyście kryształem wzruszeń wybranych, szlachetnych i bardzo jasnych. Nazbyt miesza się weń ostatnio suchy i kalkulacyjny utylitaryzm, dyktowany wprawdzie — to dla usprawiedliwienia trzeba przyznać — troską o zachowanie dóbr, o przedłużenie bytu wartościom, którym grozi zewsząd zatrata, bo mało jest takich, którzy ich cenę znają.

Mamy jednak obok eksploratorów i producentów, łapczywych na ilość łowców o typie wspaniałym, niezepsutym, tradycjami wspartym, — gorących myśliwych. To ci, których każde drgnienie serca wypełnia szczęściem współżycie z obszarem kniei, którzy śmierć z niem pogodzą rozumną, by znalazłszy zestawienia jej akcentu z melodją szerszych bytów, wtopić się czuciem najgłębszem w świat ludziom trudno dostępny, jeśli ku niemu idą bez ukochania, bez niewysłownej pokory, bez największego szacunku, chcąc tylko deptać, zabijać i niszczyć.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI.



N A K A C Z K I.

Noc gwiaździsta zapowiada ładną pogodę na dzień jutrzejszy. Po równej, dobrej szosie pędzi auto. Motor cicho, spokojnie wybija takt. Noc. Droga wolna, więc — gazu...

Pęd maszyny podnieca. Chce się prędzej. Jedziemy przecież na kaczki, — spieszymy do celu.

Wyjechaliśmy we trójkę, na noc, na teren dzierżawiony przez p. J., miłego, sympatycznego i ogólnie lubianego prezesa. Teren uważano za dobry, a więc i nadzieja dobra. Maszynę prowadzi sam właściciel, p. Z.

Wjeżdżamy na teren błot i łąk kośnych. Pod kołami auta słyszymy trzaski. Co to? pytamy się wzajemnie. Pan Z. kręci głową i oznajmia po namyśle, trzaski pochodzą od spięcia; jest niedobrze. Wydłużone miny i lekkie ciarki po skórze. Jeśli p. Z. mówi, że spięcie nie jest dobre, musimy wierzyć, przecież to inżynier — autorytet. Niemamy nic do gadania, wysiadamy i oglądamy maszynę.

Pan Z. wolno jedzie, a ja i p. J. obserwujemy z tyłu maszynę, czy nie widać iskry od spięcia. Idziemy tak kawał drogi za maszyną, i nic, a trzaski są dość częste. A że lepiej jednak jechać niż iść, wsiadamy do maszyny pomimo rzekomego niebezpieczeństwa i jedziemy. Naraz p. J. przypomina, iż jadąc parę dni temu innym autem tą samą drogą, też słyszał takie same trzaski. Sprawa się wyjaśnia. Przyczyna prosta. Na szosie pełno trzciny suchej i skrzypu błotnego roztrzęsionych przy przewożeniu siana z błot; koła maszyny miażdżąc takowe, powodują suche trzaski.

Strach minął. Motor zaśpiewał weselej i pomknęliśmy szybciej, ażeby dorobić stracony czas. Minęliśmy miasteczko po drodze i wjechaliśmy na drogę boczną. Droga świeżo remontowana, zwolniliśmy tempo, ażeby nie wpaść gdzie do dziury. W życiu bywa różnie. Jak komuś w życiu nie idzie, to ma pecha na każdym kroku, ale jak komu się wiedzie, to już całą parą. Nam też poszło dobrze i szczęśliwie stanęliśmy przed zagrodą władzy wiejskiej — sołtysa. We wsi ciemności egipskie. Zaczęło się budzenie władzy przez trąbienie klaksonem i oświetlanie chałupy prożektorem. Wreszcie słyszymy ruch wewnątrz, głosy jakieś i upragnione światełko. Zaledwie się ukazał p. sołtys na ganku zasypaliśmy go pytaniami. Jak tam, są kaczki, ile? O „kacek" jest dużo, aż „carno". Noc jest czarna i kaczek aż czarno, nic nie pomoże trzeba czekać aż się rozwidni, wtedy czarne lepiej będzie widać.

Decyzja zapadła — idziemy do chałupy. Sołtysowi i opiekunowi terenu łowieckiego w jednej osobie narobiliśmy kłopotu dużo; musiał grzać samowar, wnieść pierzyny i poduszki, wyszykować posłania i opowiadać, opowiadać bez przerwy o kaczkach. Opowiadał więc nietylko o kaczkach widzianych w tym czasie, ale i o tych, co widział kiedyś, może jeszcze za lat dziecinnych, a miało być tego dużo, bardzo dużo.

Mile zasłuchani wyobraziliśmy sobie, iż o świcie to wszystko ujrzymy, że na nasz przyjazd ta czarna chmara kaczek zebrała się na błotach.

Aby nabojów wystarczyło. Układamy się do snu, na ziemi, na słomie, na pierzynach, na poduszkach, razem z psami, aby się ulokować. Myśli się plączą, w wyobraźni widzi się kaczki, słyszy się nawet kwakanie, świst skrzydeł... Wreszcie usnąłem. Ucichły kwakania kaczek, świst skrzydeł — zaczęło się chrapanie i świst nosami, myśliwych i psów. Kiedy kazano wstawać, czułem się niewyspanym i zmęczonym i tylko ta „żyłka" myśliwska potrafi człowieka wyciągnąć z łóżka w takim stanie. Łodzie gotowe. Pan J. jedzie na jednej łódce, ja z p. Z. na drugiej. Z mieszkania do rzeki parę kroków, to też zaledwieśmy odeszli od domu jak do uszu naszych doleciał gwar kaczy i ruch na błocie.

Świt zaróżowił wschodnią część nieba, a opary nad wodą jakby misternie utkaną tkaniną zasłaniały błota i kryły ich tajemnicę.

Tajemnicę dla oka, ucho jednak tajemnicę tę przenika.

Słyszy się ciągły ruch kaczek, to zapadanie, to podrywanie się bez przerwy, to znowu jakieś nawoływanie się. Czy starka zwołuje swe dzieci, żeby się nie rozchodziły zbyt daleko, czy też prowodyrzy stąd oznajmiają, że już czas zakończyć żerowanie i szykować się do ukrywania się po oczeretach i kępach w wiklinach...

Sierpień, czas kaczych zlotów, to też widać, że zleciało się ich tu dość dużo i miał rację p. sołtys, że tu jest ich aż czarno.

Wsiadamy do łódek i rozjeżdżamy się powoli.

Pan J. jedzie w lewo, a ja z P. Z. w prawo. Odjeżdżamy powoli, gdy jeszcze jest trochę zawcze-

śnie. Suniemy cicho wśród trzcin nadbrzeżnych. Kto z nas pierwszy strzeli przez myśl mi przeszło i... walę do kaczki. Początek dobry — dobra wróżba. Podniósłszy zdobycz, posuwamy się wolno korytem rzeczki, zaledwie odjechaliśmy nieco, jak z pod samej łódki podnosi krzyżówka, a tak ciężko, że aż woda z niej ocieka, nie zdążyła jeszcze po strzale spaść na wodę, a już znowu dwie się podrywają. Pan Z. z drugiej lufy robi dubleta, a mnie pozostaje trzecia. Kaczek jest dużo. Walimy w prawo i w lewo, a echo strzałów płynie po rosie w dal. Mgły się uniosły wyżej i widać przelatujące stada kaczek w różnych kierunkach. Pan prezes J. też daje znać o sobie. Jedziemy powoli w stronę jego strzałów. Wysokie szuwary zasłaniają dalszy widok. Dojeżdżamy do zakrętu rzeczki, skąd podnosi się cyranka, walę do niej — spada z dymem, a naprzeciw wysuwa się głowa p. J. Zdębiałem. Uważać! słyszę głos z szuwarów — chwała Bogu, myślę — pudło. Zawsze jestem ostrożny, ale od tego czasu jeszcze więcej uważam. Polowanie się udało, kaczki zajęły pół samochodu, a że było gorąco, zaczęły trącić niezbyt przyjemnym zapaszkiem. Za dużo trochę tego, ale cóż zrobić, namiętność myśliwska często nie ma granic.

S. RUSSEL.



WSPOMNIENIA MYŚLIWEGO - EMIGRANTA.

PSKOWICZE.

(Zob. Nr. 28).

A tymczasem nie można poruszać się mocniej podczas miotu: zwierzyna zawsze może zauważyć myśliwego wcześniej, zanim on ją zobaczy i błyskawicznie się skryje. Można zaledwie głową poruszać i obrzucać wzrokiem swoje pole.

A przy polowaniu na rysie nie zaleca się poruszać nawet głową, tylko trzeba wodzić oczami: wilk i lis w górę nie patrzą, a ryś spogląda i do góry. Czasami, zależnie od miejsca, widać zwierzynę zdaleka i wtedy można obserwować, czy idzie na pańskie stanowisko, czy na sąsiadów. Ale najczęściej zwierz wyrasta przed myśliwym na strzał jak z pod ziemi, albo tak blisko, że gdy się przegapi to pierwsze pojawienie, to już się strzelić nie zdąży, i puszcza się cennego gościa na sąsiednie stanowisko, albo za krąg.

Dodać należy, że często przed stanowiskiem znajduje się masa śniegowych pagórków, rozczapierzonej jedliny, gęstych krzaków zaniesionych śniegiem, wśród których zaledwie maleńkie okna błyskawicznie przebiegane przez zwierzynę dają możność strzelania z przyrzutu.

Mało doświadczeni myśliwi czasami nawet nie widzą, że zwierzyna przechodzi ich stanowisko. To już, oczywiście, skandaliczne.

Nie wszystkie stanowiska są jednakowe co do możliwości wyjścia na nie zwierzyny. Środkowe wogóle uchodzą za lepsze od bocznych dlatego, że zwierzyna (szczególnie wilki), słysząc krzyki dookoła kręgu, zupełnie naturalnie usiłują być w środku. Bywa też i tak, że zwierzyna leży b. blisko od linji myśliwych i od łuku koła, w rogu utworzonym przez krąg i linję strzelców. Wtedy wychodzi na stanowiska boczne — najbliższe.

Początkowo gniazdo wilcze prowadzone przez starego basiora i waderę trzyma się razem i przekrada się b. ostrożnie, nie spiesząc się tak, iż zdarza się, że całe stado wychodzi na jedno stanowisko. Po pierwszych strzałach gniazdo się rozprasza. Wtedy zaczyna się strzelanina na różnych stanowiskach nawet niekiedy na wszystkich.

Stare, w szczególności basior, o ile nie padną przy pierwszych strzałach, uderzają w bok, równolegle do linji myśliwych, pozostawiając młodzież własnemu ich losowi. Natknąwszy się na fladry (albo na milczków, czy też naganiaczy) pędzą galopem wzdłuż, do linji myśliwych i wpadają tym sposobem na pierwsze lub ostatnie stanowiska, rzadziej przerywają łańcuch

naganiaczy i w wyjątkowych wypadkach idą przez fladry.

Młodzież pozostająca w kole przeważnie biega po stosunkowo małej przestrzeni i obawia się po strzałach wyjść na myśliwych, a nie cofa się dzięki krzykom i hałasom zbliżającej się naganki.

Często trzyma się na lufie takiego wilka, który ostrożnie się zbliża, nie mając odwagi iść naprzód, a nie pokazuje się w pozycji dającej dogodny strzał. Trzeba czasami strzelać i przez krzaki, albo tylko w jedyne widoczne miejsce — w łeb.

Aż nakoniec widać rabusia w promieniu własnego stanowiska. Należy posiadać dużo opanowania, aby podpuścić go „w miarę" i nie strzelić wcześniej. Muszę dodać, że wilk — nadzwyczaj twarda na ranę sztuka: bywały wypadki zabicia w ogniu na 60 — 80 kroków, ale pewny strzał jest tylko ten, który się wilkowi nie pozwoli już podnieść, t. j. nie dalej niż na 25 kroków, przy strzelaniu z kal. 12 ładunkiem o zawartości 28 loftek, jakiego się zwykle używa przy polowaniu na wilki.

Nawet śmiertelnie raniony, upadający lub czołgający się wilk może dowlec się do sąsiada zanim powtórnie broń naładujemy i będzie należał do tego, kto go dobił.

Na tych polowaniach .myśliwy, jak wyżej powiedziałem, niema prawa schodzić ze stanowiska do końca, który obwieszcza prowadzący polowanie okrzykiem: „zejść ze stanowisk", okrzykiem, podawanym od myśliwego do myśliwego. Wobec tego, podczas polowania, strzelający nie może dochodzić ranionej sztuki, chociażby okazywała najcięższą ranę. Nawet po skończonym miocie myśliwy nie może tego robić.

Zanim zejdzie ze stanowiska, obowiązany jest rozładować broń, wyjąć naboje.

O ile zwierz był raniony z jego stanowiska i poszedł, to broń oddaje się jednemu z pskowiczów, który po tropach (farbie) podchodzi ranioną sztukę i dobija ją.

Ale, strzelając nawet zbliska, niektórzy myśliwi ze wzruszenia pudłują na 15, 10 i 5 kroków.

Był u nas w T-wie myśliwy w średnim wieku, który zawsze wyczekał wilka „w miarę" na 25, a nawet 15 kroków i prawie zawsze chybiał, a wogóle strzelał nieźle. W ciągu jednej zimy spudłował 22 wilki.

Przy bardzo udanem polowaniu, w jednym kręgu zabija się 10 — 11 wilków, ale to bywa rzadko i zależy od ilości otoczonej zwierzyny (i od celności strzelających). Przeważnie jednak krąg daje 4 — 6 wilków.

Rozumie się, że ilość zabitej przez jednego myśliwego zwierzyny, na polowaniach ogólnych, nie jest wielka. Zależy ona od sztuki strzelania, gatunku broni, ale w bodaj większym jeszcze stopniu od „szczęścia" od tego, czy trafia się temu samemu myśliwemu dobre stanowisko i czy często wychodzi na nie zwierzyna. Jednym się powodzi — innym nie. Przytem jeden sezon bywa szczęśliwy — inny znów — pod psem.

Osobiście w pewnym sezonie jeździłem 22 razy na wilki i tylko raz doszedłem do strzału.

Najwyższy rekord na wilki zabite przez jednego myśliwego na polowaniach ogólnych T-wa im. Ces. Aleks. II, — w jednym sezonie stanowiło 14 sztuk. Rekord ten został ustanowiony przez B. M. Nowikowa w sezonie 1913 — 14 roku. Najwyższy rekord do lisów ustanowiłem w sezonie 1915 — 16 roku *). Być może, iż na innem miejscu opowiem o tym moim rekordzie.

Dwa żetony otrzymane od T-wa za ten rekord udało mi się przechować tu — na wygnaniu.

Jednakowoż przy polowaniach na wilki bywa i tak.

W skład terenów „Moskiewskiego T-wa myśliwskiego im. Ces. Al. II", którego byłem członkiem i jednym z dyrektorów od 1902 r. aż do bolszewizmu, wchodziły gubernie: moskiewska, włodzimierska, jarosławska, twerska, smoleńska, kałuska, tulska, riazańska i częściowo orłowska oraz czernihowska.



Z pskowiczami.

Oto — na depeszę pskowiczów jedzie towarzystwo myśliwych, składającej się z 10 — 12 ludzi, pociągiem przez większą część nocy, a potem końmi przeważnie na zwykłych, chłopskich saniach, zaprzężonych w pojedynkę, po 1 — 2 ludzi na konia — do miejsca przeznaczenia o 20, 25, a nawet 55 wiorst odległego, podczas mrozu „trzaskającego" lub w straszną zawieję.

Rankiem przyjeżdżają na miejsce. Pskowicze raportują: „wilki wyszedłszy". To znaczy, że wczoraj jeszcze były na przynęcie, a dziś w nocy — nie. I takie wypadki nie należą do rzadkości. Chodziły do przynęty przez tydzień, może nawet przez dwa co noc, a gdy przyjechali myśliwi — wyszły i to przeważnie tak daleko, że odnaleźć je i dopędzić rzadko kiedy się uda.

Czem się to tłumaczy.

Znakomity Tomson-Setton podobne wypadki objaśnia tem, że zwierzęta posiadają swego Anioła-Stróża, pochodzącego od Boga, — instynkt, który je ochrania niewiadomemi sposobami przed grożącem niebezpieczeństwem. Nie wiem czy tak jest. Mnie się nasuwa następujące objaśnienie:

Towarzyskie, zbiorowe polowania wyznaczano zwykle na niedzielę i święta, gdy myśliwi, a także i wieśniacy na wsiach wolni są od pracy.

*) Przy zabiciu jedenastej sztuki byłem obecny wraz z Dyr. St. Morzkowskim na polowaniu w Bratowszczynie.

Przynęta często znajdowała się w odległości 1 — 2 wiorst od wsi. I oto w wigilję święta wieczorne dzwonienie w cerkwi niepokoiło zwierzynę, która nie szła już do przynęty, a przeciwnie — uchodziła w głąb lasów. Miejscowe zaś wilki, jeśli takie były, przywykały do dzwonów i np. od „Dziecinnej Pustyni", gdzie w dzwony bito całą noc, nie odchodziły daleko. Nasi zaś pskowicze nie umieli objaśnić tego zjawiska, a mawiali zwykle: „Bóg ich raczy wiedzieć, dlaczego poszły.

Jak wspomniałem wyżej, na te polowania z pskowiczami starali się otrzymać zaproszenie i różni „znakomici cudzoziemcy-myśliwi". Ponieważ zaś w naszem T-wie takie polowania cieszyły się specjalną sławą i ponieważ niezmiennym prezesem był najmilszy książę F. F. Jusupow (ojciec), na barki którego dworskie sfery zawsze chętnie kładły wszelkie kłopoty ze „znakomitymi cudzoziemcami", więc ci ostatni, rzecz prosta, rozmiłowali się w polowaniach naszego T-wa.

Pamiętam dwie takie ciekawe wizyty.

Pierwsza — ustępującego ze swego stanowiska i przygotowującego się do wyjazdu posła jednego z wielkich państw.

Przygotowano polowanie na wilki w jednym z majątków ks. Jusupowa. Był jeden wagon osobisty księcia, a drugi uprzejmie wyznaczony przez Dyrekcję Moskiewsko-Kijowsko-Woroneżskiej dr. żel., dyrektorski, w których uczestnicy urządzili „główną kwaterę".

Na opisanych polowaniach nigdy nie można wiedzieć napewno na jakie mianowicie stanowiska pójdzie zwierzyna. Prawda, pskowicze podczas pędzenia mogą „naciskać" pędzenie w ten sposób, że zwierz powinien wyjść bliżej tych lub innych stanowisk. Ale po pierwsze, to się nie zawsze udaje, nawet przy pozwoleniu (zwykle zabrania się to robić), powtóre wszystko zależy od tego, gdzie mianowicie w kręgu leży zwierzyna. Zawsze jednak najwięcej szans mają środkowe stanowiska.

Poseł wylosował 3 numer z ośmiu, zatem dobry. Z tyłu za nim postawiono pskowicza.

W oczekiwaniu pędzenia, poseł elegancko się rozsiadł na składanym stołku i rozwinął gazetę. Podczas trwania miotu sąsiedzi przepuszczali na niego wilki, ale bez względu na dotknięcie pskowicza, poseł „przegapił" 2 — 3 wilki, a do jednego spudłował zupełnie. Inni zabili 3 — 4 wilki.

Drugiego miotu w tem miejscu już nie było i postanowiono jechać do innego majątku, aby nazajutrz urządzić tam jeszcze polowanie.

Pan poseł zdenerwował się, — mówił, że cierpi na migrenę, zawiązał głowę ręcznikiem i zamknął się w swoim przedziale.

Przed odjazdem rozpoczęto się naradzać, jakby zadowolnić posła, dlatego, że nazajutrz polowanie było niepewne, a w dodatku on mógł znów przegapić i spudłować. Wreszcie postanowiono pozostawić jednego pskowicza na miejscu, jakoby w celu poszukiwania ranionego wilka i pozostawić jednego z zabitych wilków.

Odjechali.

Na drugi dzień rano — depesza od pozostawionego pskowicza: „znaleziony martwy wilk raniony na numerze 3. Kto strzelał"?

— Kto był na trzecim numerze?

— Ty?

— Nie.

— Ty?

— Nie.

— Ależ, — za pozwoleniem, — toż przecie nasz gość miał trzeci numer.

Do niego.

— Pan, panie pośle był na trzeciem stanowisku?.

— Ja.

— I strzelał pan do wilka?

— Strzelałem.

— Aaa, — w takim razie pozwoli pan sobie powinszować. Oto depesza. Pan ranił tego wilka i znaleziono go martwego.

Ma się rozumieć — ręcznik z głowy.

— ...Szam — pa — na...

Potem, ów wilk został wypchany i wywieziony jako trofeum bardzo daleko. W zagranicznych pismach zjawiły się fotografje posła ze zdobyczą — „rosyjskim wilkiem".

Uczestnicy dali słowo, że zachowają tajemnicę do czasu, ale po śmierci posła historja ta stała się znana.

Drugi epizod miał miejsce w Petersburgu z byłym japońskim posłem, znanym panem Motono.

Polowano również u księcia Jusupowa. Ale ten gość przynajmniej, jak się okazało, był myśliwym.

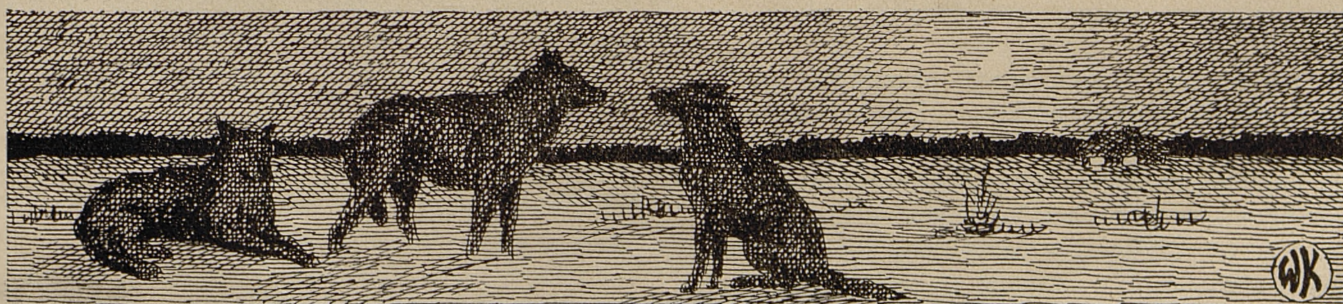
Coprawda też przegapił dwa wilki, przepuszczone uprzejmie przez dżentelmena, dziś już nieżyjącego, znanego fabrykanta jedwabiu i przewodniczącego francuskiej kolonji w Moskwie P. K. Żiro, ale za to trzeciego powalił w ucieczce na 60 kroków.

Dowiedziawszy się o tem, zapytałem: „strzelba pana zapewne Purdey"?

— Tak. Purdey.

Trzeba znakomitej broni, aby zabić wilka z tej odległości i w dodatku pomykającego od strzelca.

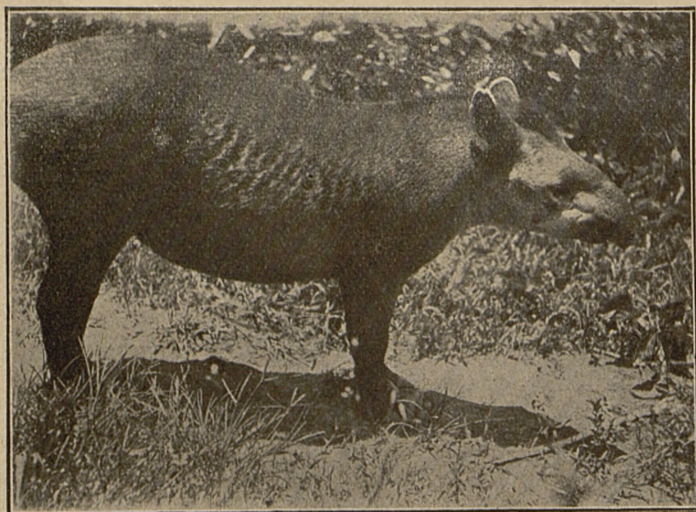
D. c. n. JERZY DYLEWSKI.



Z KAMERĄ NA TAPIRA.

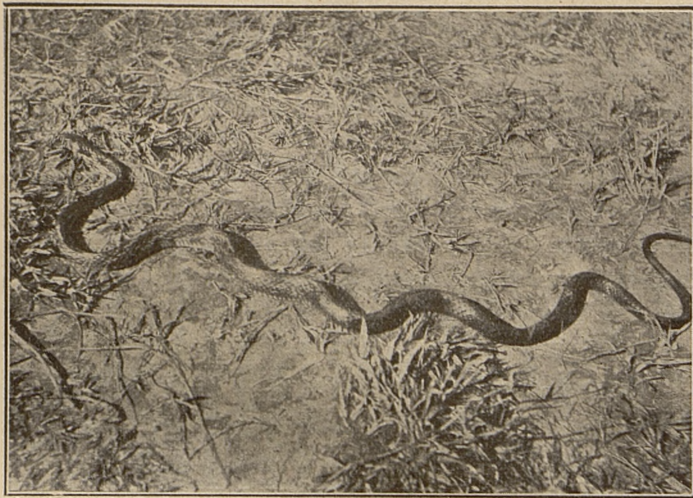
(WSPOMNIENIA Z BRAZYLJI).

Fotografowanie zwierząt w naturze to rzecz trudna — daleko łatwiej jest strzelać je ze śmierciono-śnego Mauzera, ale to mnie nie nęci: Po dziś dzień bronią strzelają wszyscy — kamerą zaś tylko jednostki — ludzie uparci o nadziemskiej cierpliwości. W zaraniu mojej „karjery" fotografowałem zające zwykłym Kodakiem — ba! nawet sarny i borsuki tak uporczywie prześladowałem, że nie zraziła mnie nawet całoroczna, kosztowna na one czasy praca, która była jakoby wiecznie bezowocną. Dziś tak samo zwykłym Zeissikonem uparci prześladują tapiry w bezludnych puszczach Brazylji — ale tu praktyka i doświadczenie powoli robi swoje. A jednak jak śliczne i o stokroć wydajniejsze byłyby owoce gdyby człowieka stać było na jaki taki tele-objektyw!... Wróćmy nad Rio Ivahy. Niemiłosiernie paliło z zenitu podzwrotnikowe słońce, lecz zaszyty w ciemną puszczę nie odczuwałem tak bardzo spiekoty, jedynie zaduch i parność odurzającej atmosfery wnętrza lasu dokuczały w pewnej mierze. Już poraz dziedziesiąty może próbuję szczęścia z tapirem, aby nareszcie zdobyć to cenne trofeum w postaci papierowej odbitki z kliszy. Zwarte gąszcze otoczyły mnie zewsząd; kieruję się prawym brzegiem rzeki ku polankom i szerokim „Carcironi" — przesmykom — gdzie chętnie przebywają tapiry w kałużach. Wolno, ostrożnie i cicho z gotową kamerą zbliżam się do obranego miejsca, aby ewentualnie będących w pobliżu tapirów nie spłoszyć. O podejściu zwierza na tak bliską metę aby przy pomocy zwykłego objektywu otrzymać tu pośród krzaków, jakietakie zdjęcie, mowy być nie mogło — użyłem więc innego sposobu a mianowicie zasiadki na czatach.



W pełnem słońcu. Fot. A. Wiśniewski.

Na najczęściej uczęszczanym przesmyku przez te zwierzęta, łączącym rzekę z kałużami leśnemi, w których tapiry często brały wśród skwarnego dnia swoje kąpiele, ustawiłem ukrytą kamerę, której zatrzask przy pomocy specjalnego mechanizmu przezemnie tu w puszczy wymyślonego, połączyłem z mojem stanowiskiem długim, mocnym sznurkiem. Oczyściłem moją okolicę z kolczastych ljan i... węży, tak aby mieć linję widoczną do zamaskowanej kamery; sprawdziłem jeszcze raz kierunek wiatru, rozjaśniłem przesłonę, a mechanizm aparatu nastawiłem na $^1/_{100}$ sek. Teraz spokojnie usadowiłem się za kłodą zwęglonego drzewa wsłuchując się w świergot leśnego ptactwa i tajemnicze szelesty dzikiej puszczy.



Caninana. Fot. A. Wiśniewski.

W bezczynnych godzinach wyczekiwania szkicowałem fantastyczną wegetację wnętrza dziewiczej puszczy, a czas jakoś powoli schodził. Czaty to niezbyt przyjemne, bo strasznie przeszkadzają napastliwe zgraje komarów, których dymem w należytej odległości utrzymać nie można bo tapir też nie „w ciemię bity" i łatwo wtenczas zauważy obecność człowieka. Chwile przechodziły w godziny. Wyszkicowałem już moje otoczenie wokoło kompletnie i jakby w sam raz coś zaszeleściało z boku. Wzrokiem gęstwy przebić nie mogłem — jedynie szmer uliścionych krzewów i ciężkie fuknięcie dawały do zrozumienia, że zbliża się zwierz. Uchwyciłem sznurek i czekam z zapartym oddechem... W tej chwili kapryśne słońce przysłoniła chmura i przesmyk pociemniał — lecz nie było chwili do stracenia, lekko ruszyłem sznurkiem. Trzask wyklucznika, mimo że był głośny bynajmniej tapira nie spłoszył — przeciwnie zwierz nawet przystał na chwilkę i czegoś szukał po ziemi, poczem wolno poszedł dalej.

W dwa dni później na tem samem miejscu, w pełnem słońcu zrobiłem ładne zdjęcie stojącego tapira — lecz niestety, jak większość zdjęć moich na kliszach tak i to zaczęła niszczyć zgryźliwa, wilgotna atmosfera puszczy.

Do fotografowania w podzwrotnikowych lasach należy użyć — jeśli zaraz na miejscu nie wywołujemy — jedynie błon płaskich lub zwijanych a opakowaniu tropikalnem, które są lekkie i zabierają mało miejsca.

W drodze powrotnej wydeptałem na przesmyku blisko dwumetrowej długości węża „canionana", który stał się również łupem mojego objektywu. Narazie z dzisiejszej zdobyczy, wliczając w to i kilka cennych okazów fauny ornitologicznej, byłem bardzo zadowolony i raźno skierowałem się do obozu.

A. WIŚNIEWSKI.

„PARK ZAJĘCZY"
W LASACH EDWARDA HR. RACZYŃSKIEGO W DĘBICY.

(Zob. Nr, 28).

HODOWLA W „PARKU ZAJĘCZYM".

Wpuszczanie zajęcy.

Od dnia 20—24/I 1931 r. mając uprzednio w parku wszystko przygotowane (patrz opis parku) wpuściliśmy stopniowo: **12 samic i 3 samce**, następnie jeszcze 1-go samca, jako rezerwę i pomoc w nagłych wypadkach, ogólnie więc: **12 samic i 4-ry samce!**

Wzorując się na przykładzie z życia zajęcy na swobodzie, wpuszczono je raniutko, przed wschodem słońca, gdyż w tym czasie powracają z pól z całonocnego żerowania i odrazu zasiadają w kopna lub pod krzakami w lesie; przyczem nie powinno się ich razem wpuszczać, lecz stopniowo, jakżeśmy to czynili, ponieważ łatwiej w ten sposób się uspokajają.

Przez pierwsze 3 dni, stale biegały dookoła po chodniku, wzdłuż ogrodzenia usiłując się wydostać na swobodę, skacząc z miejsca do 2 m. wys.; po paru dniach dalszych, stopniowo się zaczęły przyzwyczajać do nowych warunków życia, wybrały sobie jedną ulubioną kwaterę, gdzie stale na niej gromadnie, w dzień, przesiadywały. (fot. 9).



Fot. 9.

Pożywienie.

W pierwszych dniach zające żerowały, li tylko na oziminach, w kapuście i jarmużu, pomimo, że w jarzemkach miały dodatkowo przygotowaną suchą paszę, w kopczykach — siekankę i snopeczki zatknięte na palikach.

Park, w ten sposób przygotowany, może wyżywic na mordze 3—4-ch zajęcy; dbając o swoich pensjonarjuszy i o różnorodność paszy, łagodząc tem samem niewolę, zakładano w jarzemka **fot. 3.** za drabinki: łodygi i liście bulwy suszone, które pierwsze zaczęły konsumować, koniczynę suchą, owies w snopeczkach — w żłobki **fot. 3 (z)** trochę owsa i jęczmienia w ziarnie, posypując lekko solą. Przy każdem jarzemku, których w parku mieliśmy 4-ry, są wkopane korytka, napełniane codziennie świeżą wodą.

Jarzemka mają daszki dość duże, które uniemożliwiają zamakanie paszy.

Zające bardzo prędko się przyzwyczajają i już po tygodniu żerują naprzemian to pod jarzemkami, w jarmużu i kapuście lub też na oziminach i w kopczykach, wyjadając siekankę, składającą się: z marchwi, pietruszki i kartofli, jak również rzucane im gałązki: akacji, osiki, które skrzętnie ogryzają.

W ten sposób przedstawia się, pożywienie zajęcy w „Parku". Zające wyglądały dobrze, były wesołe, parkoty i lęgi — odbywały się normalnie, co dowodzi, iż jakość, ilość i różnorodność paszy — były dobre i dostateczne.

Chcąc o ile możności zającom zapewnić świeżą paszę, oprócz traw wczesną wiosną zasiano jedną kwaterę: mieszanką (wyka, owies i groch) którą należy ogrodzić płotkiem przenośnym, w przeciwnym razie zające nie dopuszczą do odrośnięcia mieszanki, strzygąc ją przy samej ziemi.

Wskutek niebywałej posuchy w miesiącu: czerwcu i lipcu 1930 r., podczas której, padły nam 2 samice, dodawano świeżej koniczyny z pól i liście: jeżyn i malin.

Zające oswajają się po 2—3 tyg. do tego stopnia, że nie reagują na widok dozorcy lub też zwiedzających park.

Parkoty.

Parkoty rozpoczęły się po 5 dniach — normalnie: wieczorem i nad ranem, a czasami w dzień. W dzień przebieg był następujący: samice przeważnie siedzą wszystkie na wierzchu, wygrzewając się na słońcu, samce zaś w kopnach, odpoczywając po nocnych hulankach. Od czasu do czasu, samice zaczepiają samce gryząc je, zmuszając poniekąd do spełnienia swoich obowiązków, po kilkakrotnych, tego rodzaju karesach, samiec wyskakuje z kopna i nie wiadomo, czy ze złości czy z ochoty, zaczyna uganiać się za samicą, a dopiero po dłuższej bieganinie, nakrywa ją rozpłaszczoną na ziemi, a po skończonym akcie, spada na prawy bok zupełnie na ziemię i oboje równocześnie rozlatują się, każde w swoją stronę. Samiec znowu spoczywa i wcześniej jak po półgodzinnej przerwie, nie czuje się na siłach do spełnienia powtórnej powinności.

Lęgi.

Około 15/III rozpoczęły się lęgi, których rezultaty będą przedstawione poniżej.

Samica jest złą matką, nie troszczy się o swoje potomstwo i po paru dniach opuszcza młode, które muszą już liczyć na własne siły

Gdy samica ma więcej pokarmu, przybiega

*) Łow. 23 z dn. 7/VI 1930 fot. str. 461.

w miejsce lęgu i piskliwym głosem — przywołuje małe zajączki do karmienia.

W parku wskutek zamkniętej powierzchni, karmiły małe do tygodnia. Nowonarodzony zajączek, jest zupełnie miniaturą dorosłego, a różni się tylko tem, że w pierwszych dniach, ma słuchy opuszczone na dwie strony; mierzy: 10 cm. długości i 5 cm. wysokości.

Pożywienie młodych zajączków jest takie same jak rodziców. Po 4—6 tygodniach wyłapuje się zajączki, bada płeć, obcina lekko słuchy: lewy — samicy, prawy — samcowi (dla kontroli przy przyszłych polowaniach) wynik zapisywano i puszczano do rewiru.

Łapanie młodych zajączków.

Po uprzedniem obejściu kwater: ozimin i remiz oraz wypatrzeniu, gdzie młode zajączki śpią i w którym kierunku mają skierowaną głowę, od tej strony zakładano siatkę. Siatka ma 10 m. długości, 1 m. szerokości, zrobiona z mocnego sznurka, na sposób podrywki na ryby, o oczkach 5 na 5 cm.

Podczas łapania rozciąga siatkę 2 ludzi, a innych 2—3-ch pędzi dany kawałek, płosząc zające. O ile wybiega zając stary, którego się nie łapie, wówczas trzymający siatkę, opuszczają na ziemię i ten swobodnie ją przeskakuje, gdy biegnie młody, wyciągają siatkę na szerokość i nakrywają go, przyczem jeden z trzymających szybko dobiega, chwyta zajączka za tylne skoki, wyplątuje go i wsadza do zwykłej skrzyneczki. Czynność tę powtarza się potrzebną ilość razy. Tutaj nadmieniam, by jednego dnia nie łapać dużo zajęcy i **długo,** gdyż czasem bardzo płoszone, mogą łatwo zginąć.

Celem wcześniejszego umożliwienia zasiania ozimin w „Parku Zajęczym" i przeprowadzenia dokładnej dezynfekcji, zające 2/IX 1930 r. wypuszczono na wolność —otwierając bramy parku, któremi porą nocną wyszły do lasu!

REZULTAT CAŁOROCZNEJ HODOWLI OD 12-SAMIC I 4-SAMCÓW.

I. Pomiot od	1/III —31/IV	wypuszczono	22 samice	i 18 samców
II. „ „	1/V —30/VI	„	20 „	i 13 samców
III. „ „	1/VII—3/VIII*	„	13 „	i 9 „
IV. „ „	4/VIII—2/IX	„	6 „	i 3 „
		Razem	61 samic	i 43 samców

III pomiot zmniejszony wskutek wspomnianych upałów, IV nie doprowadzony do końca.

Koszty wychowania 16 szt. zajęcy od od 1/II—1/IX 1930 r. częściowo wraz z młodemi.

50 kg. jęczmienia	7.5	zł.
3 kopy owsa	60.—	zł.
200 kg. marchwi	8.—	zł.
pietruszka	6.—	zł.
300 kg. koniczyny (such)	24.—	zł.
100 kg. kartofli	3.—	zł.
świeża koniczyna	30.—	zł.
ozimina (wysiane zboże)	20.—	zł.
obsługa	60.—	zł.
razem	218.5	zł.

Poniższe wywody opieram na podstawie wyników:

1) tępienia szkodników (od 2 lat),

2) jednorocznej hodowli (Park Zajęczy 1930 r.),

3) odbytych polowań na jednym i tym samym terenie (polowania główne).

wyniki ad 1) rok 1929 i 1930.

lisy	łaski	kuny	tchórze	sowy	wrony
25	5	2	1	26	234
	sroki	psy	koty	jastrzębie	
	32	21	38	52 = 437 szt	

Szkodniki częściowo ubito, częściowo złapano w żelaza, pułapki i t. p.

	zające samice	zające samce	ogółem	bażanty	
1928	49	41	90	—	całkowity teren opolowany
1929	34	27	61	35	mroźna zima
1930	111	83	194	160	opolowano $^{1}/_{3}$

Wyjaśniając, że teren główny wynosi około 1.300 m. i gdyby był w roku 1930 całkowicie opolowany, a nie 1/3, na podstawie próbnego pędzenia przed polowaniem twierdzę, że lekkoby padło 400 zajęcy; możnaby rezultat ten przypisywać lekkiej zimie i dobrym warunkom w r. 1930, gdyż rezultaty ubiegłego roku, były wszędzie, w naszych okolicach lepsze. Jednakowoż stwierdzam, że przedstawione wyniki są momentem przekonywającym i zachęcającym do kontynuowania na tych zasadach dalszej hodowli.

Oprócz tego „Park Zajęczy" służy również do przetrzymywania części samic, złapanych przed polowaniem na danym terenie. W tym celu na 3 dni przed polowaniem, wyłapuje się możliwie dużą ilość samic, które wpuszcza się na parę dni do parku, a po polowaniu wypuszcza się je z powrotem do łowiska, traktując je jako kapitał zakładowy; przy tej sposobności reguluje się stosunek płci, który wystarczy w zupełności: 1 : 4 i przypuśćmy, dla łatwiejszego r-ku, że złapiemy 50 zajęcy na te kilka dni, mogę śmiało twierdzić że w następnym roku otrzymamy 50 razy 8 = 400 + 50 = **450 zajęcy,** oprócz tych które w terenie uszły przed strzałami i przyrostu od nich. Jest to jeden, z bardzo ważnych momentów, do którego „Park" się również nadaje, który powinien być zawsze uskuteczniony przez dbającego o swój stan — hodowcę

Niepowodzenie „Parków Zajęczych", należy jedynie i głównie przypisać temu, iż młodych zajęcy, nie wypuszczano, jak my to czynimy, tylko przetrzymywano aż do chwili — użytkowania. Nic więc też dziwnego, że ponieważ przestrzeń, pozostaje niezmienioną, a przyrost, a więc i ilość nieproporcjonalnie wzrasta, wybuchają epidemje i infekcje, dziesiątkując zające przebywające w „Parku", zniechęcając właściciela do dalszej hodowli i narażając go na poważne straty.

Z przedstawionego Sz. Czytelnikom opisu „Ho-

dowli Zajęcy" wynika, że najgłówniejszym warunkiem jest:

1) posiadanie samego „Parku",

2) posiadanie sieci.

Koszty są coprawda znaczne, lecz szybkość ich amortyzacji, przy większych terenach łowieckich trwa krótko i mając na sprzedaż z pozostałych terenów (poza głównym) żywe zające, które w tym roku utrzymały się w cenie: 40 zł. — samica, 20 zł. — samiec, dochód z nich pokryje inne inwestycje **w dwa do trzech lat.** Nasz kontygent w tym roku, żywych zajęcy, był dość duży i został rozsprzedany w przeciągu 2 tyg. a dość dużo zamówień dalszych, nie mogliśmy uskutecznić!

Na korzyść amortyzacji — musimy również zapisać zwiększone wyniki „rozkładów".

Pozatem posiadanie sieci umożliwia nam zawsze utrzymanie odpowiedniego stosunku płci, jakoteż wymianę zajęcy na naszych terenach łowieckich. Mając lasy rozłożone na pierwszych wzniesieniach Podkarpacia oraz w terenach nizinnych, rok rocznie zasilamy te ostatnie jak również i „Park Zajęczy" zającami, schwytanemi w górach, które są silniejsze, większe i mocniej zbudowane od nizinnych i polnych.

Wymiana taka jest nadzwyczajnie korzystną, wpływa na krzyżowanie i odświeżanie krwi oraz zapobiega degeneracji naszego „rodu zajęczego".

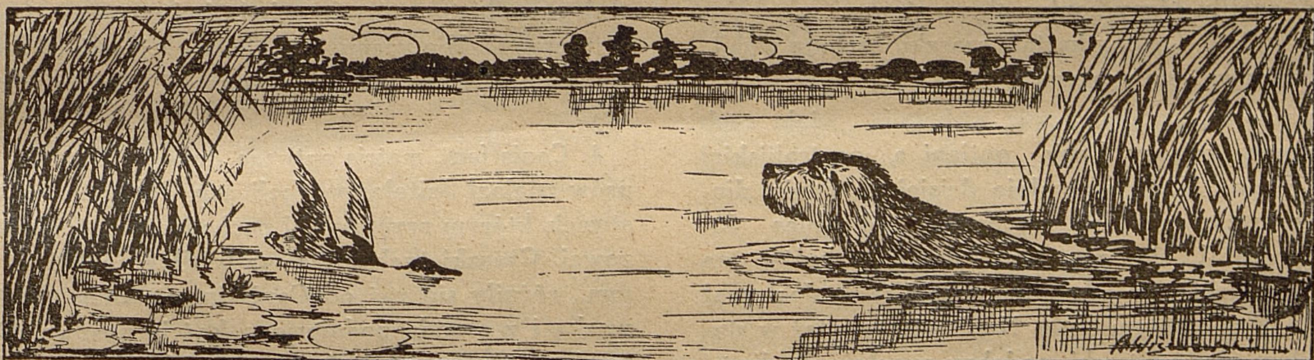
Jednym, z lepszych sposobów, wedle ścisłej obserwacji, do zasilania terenów łowieckich i odświeżania krwi, jest wypuszczenie 4—6 **tyg.** zajączków, które jako młodziutkie, łatwiej się przyzwyczajają do nowego miejsca i warunków życia, dając pełną gwarancję, że w danem łowisku pozostaną!

Zupełnie solidaryzuję się z odnośnym artykułem D-ra H. Malsburga*) Łow Nr. 2 z dn. 11/I 1930 r. szczególnie w mniejszych łowiskach, gdzie właściciele nie posiadają pewnej ogrodzonej przestrzeni, służącej do kilkodniowego przetrzymania zakupionych — starszych zajęcy.

W tym roku będziemy mogli dostarczać młode zajączki dopiero od końca maja (po cenie: samiczki 12 zł., samce 6 zł.), gdyż marczaki, wskutek ciągłych opadów śnieżnych, przymrozków i zmian temperatury, przeważnie wyginęły.

Dębica w kwietniu 1931 r. HENRYK KEMMER.

*) W sprawie sprowadzenia zajęcy.



POCHODZENIE PSA.

Domowy pies w systemie zoologicznym jest blisko spokrewniony z rodziną niedźwiedziowatych, zwłaszcza z jej mniejszymi przedstawicielami. Wskazuje na to podobieństwo uzębienia i pewna wspólność konturów czaszki. Biorąc za podstawę uzębienie, musimy od pokrewieństwa z naszym psem wyłączyć południowo-afrykańskiego psa wielkouchego (Otocyon zafer), wschodnio-azjatyckiego wilka alpejskiego (Cyon alpinus), afrykańską hyenę (Lycaon pictus) i brazylijskiego psa leśnego (Icticyon), tak, że do pokrewieństwa z psem pozwolimy się przyznać jedynie lisom, szakalom i wilkom, i to z pewnem zastrzeżeniem co do lisów, które absolutnie nie dają się z psami krzyżować, chociaż typ przechodni, szakale, krzyżują się z trudnością, a wilki hodowane — zupełnie łatwo. Na tym „głosie krwi", mojem zdaniem, można się do pewnego stopnia opierać. Zdaje się też nie ulegać wątpliwości, że w psie domowym płynie krew wilka północno - amerykańskiego (Canis occiventalis) oraz kujota (Lanis latrans) zamieszkującego gęsto prerje północnej i środkowej Ameryki.

Rodzina wilków i szakali tworzy liczne odmiany lokalne. Odmianą szakala najpospolitszą jest Canis aureus L. zamieszkujący Bałkany i Azję Mniejszą, na północ sięga do Dalmacji (wyspy Curzola i Sabioncello). Osobną grupę tworzy szakal siwy ze swemi odmianami: Canis variegatus (Habecz), Canis anthus (Senegambia), Canis lupaster i Canis sacer (cała Afryka północna).

I wilki mają kilka odmian różniących się między sobą wymiarami i budową czaszki, ubarwieniem i wzrostem. Ogólnie wilki północne są duże — południowe małe.

Powiedzenie czegoś pewnego o pochodzeniu psa jest rzeczą niezmiernie trudną, jeśli się zważy, od jak rozlicznych typów przodków szakali i wilków się wywodzi i jaki wpływ na utrwalenie i modyfikację ras miał od epoki kamiennej opiekun i hodowca jego, człowiek. To

też wnioski na ten temat wyprowadzane przez wszystkich badaczy pochodzenia psa, noszą raczej cechy hypotez. I tak Antonius i Holzheimer na podstawie kraniologji, archeologji i zoogeografji uznają pochodzenie psa od większych typów wilków i szakali, podczas gdy Th. Studer wyprowadza go od nieistniejącego dziś psa przedhistorycznego, jako osobnej formy zoologicznej, i nazywa go Canis ferus.

Pies domowy pojawia się w Europie przy przejściu z epoki paleolitycznej do neolitycznej, a ponieważ wiedza dzisiejsza twierdzi, że kolebką kultury neolitycznej była Europa południowo-zachodnia, skłonny jestem przypuszczać, że we krwi naszego psa dopatrywać należy krwi południowych, małych wilków. W miarę posuwania się ludzkich osiedli ku północy, mieszała się krew psa z wilkiem północnym, większym, wybierały i krzyżowały odmiany, i stąd powstawały pierwotne rasy psa przedhistorycznego, stanowiące osobne grupy.

I. Grupa psów, wywodzących się od wilka południowego.

1. Canis putiani Studer. W roku 1901 odkryto na południowym brzegu jeziora Wysokiego pod Moskwą ślady osiedla ludzkiego z pogranicza epoki paleolitycznej i neolitycznej, gdzie znaleziono szkielet psa domowego, którego Studer nazwał „Canis putiani studer". Był to pies średniej wielkości, o długości czaszki 169 mm., części mózgowej przedłużonej, mało wysklepionej.. W profilu górny kontur głowy stanowi uderzająco prostą linję. Ogólny kształt czaszki, cechuje wybitnie prymitywny stan rozwoju.

Porównania kraniologiczne wykazują wiele cech podobnych między Canis putiani a australijskim Canis dingo. Przypuszczalnie dzisiejszy Canis dingo w czasach przedhistorycznych, • jako pies domowy, dostał się przy wędrówkach ludów na ląd australijski, tam zdziczał i dzięki temu dochował się do dziś w czystym typie. Na Jawie żyje też w stanie dzikim pies tengerski, podobny zupełnie do dinga. Również bardzo niedaleko od niego stoi półdziki pies Wschodu, zwany parjasem, żyjący w pobliżu ludzkich osiedli, nie należąc do nikogo. Typ ten znany jest od brzegów Oceanu Spokojnego w całej Azji południowej i północnej Afryce aż do Oceanu Atlantyckiego. Ze wschodu dostał się na Bałkany i znanym był jako ulicznik konstantynopolitański, póki władze młodotureckie nie pozbyły go się sposobem bardzo prostym. Kazały wyłapać wszystkie psy i nie czyniąc im krzywdy, wywieźć na bezludną wyspę.

2. Canis palustris Rütimayeri jest typem odnalezionym przez Rütimayera w szczątkach palowych, nadwodnych budowlach w Szwajcarji. Jest to typ mniejszy (dł. czaszki 133 — 137 mm.), zbliżony do dzisiejszego szpica. C. Keller wywodzi go od szakala, Canis aureus, Studer zaś od małego, południowego wilka. Stroebel dopatruje podobieństwa między nim, a dzisiejszym szpicem maltańskim i dowodzi, że psy te były bardzo modne w starożytnym Rzymie. Z nich przypuszczalnie wyszły nasze pinczery, niektóre teriery, a głównie psy lapońskie w Finlandji i północnej Szwecji. Drugiem osiedlem tego psa była Azja, jak tego dowodzą reliefy szpiców znane nam z trzeciego tysiąclecia przed Chr. Dziś ten typ widzimy u psów Tunguskich, Samojedzkich i Ostjackich, dalej u chińskich „czan" i botackich na Sumatrze (oba ostatnie hodowane na mięso).

3. Canis intermedius Woldrich znaleziony w wolnej Austrji w wykopaliskach z epoki bronzowej. Studer natomiast odkrył ten typ w Szwajcarji w najmłodszych warstwach neolitu. Sądząc z wymiarów, domyślać się można tej krwi w dzisiejszych psach myśliwskich, powstałych z mieszaniny dogów, psów owczarskich, a gdzieniegdzie i chartów, jako tropowce, wyżły, foxhundy, spaniele i t. p. W tych ostatnich wyprowadzono brahycefalne dżiny chińskie, King - Charles'y etc. Te psy luksusowe więc nie są bynajmniej żadną starą rasą wschodnio-azjatycką, lecz wyprodukowaną z europejskich przepiórkarzy (Wachtelhund) zawiezionych tam przez pierwszych misjonarzy europejskich.

Specjalną, dziedzicznie ustaloną formą jest jamnik z typowo chondrodystroficznie utworzonemi kończynami, normalnie zakreślonym konturem czaszki i typową inteligencją. Gdzie i kiedy i z jakich krwi rasa ta została wyprodukowana, tego kinologja dotychczas nie wyjaśniła. Podobne do jamników psy, lecz ze sterczącemi uszami, widzieć można na malaturach grobowcowych, w egipskim Berszebie z czasów XII dynastji.

Natomiast rasa psów bardzo zbliżona do naszego psa łowieckiego, spotyka się często w Egipcie w czasach przedhistorycznych, a była kultywowana i w historycznych. Nie wiemy też, kiedy i z jakich powodów wyginęła, nie spotykamy bowiem jej śladów w całej Afryce.

4. Canis fam. matris optimae Jeiteles. Czaszki tych psów znalazł Jeiteles w okolicach Ołomuńca w warstwach, którym przypisywał pochodzenie z epoki bronzowej. Czaszki tych psów miały długość 171 — 189 mm., różniły się zaś od Canis intermedius dłuższą, wąską i z przodu podniesioną kością nosową. Ogólnemi wymiarami zbliżają się do nich dzisiejsze, prymitywne psy owczarskie, belgijskie, holenderskie i francuskie, podczas gdy odchylił się od nich pies owczarski, niemiecki a zwłaszcza szkocki collie, w którym znać krew charta.

5. Canis Inostranzevi Anutesin. Na brzegach jeziora Ładogi w neolitycznych warstwach najstarszego pochodzenia, obok czaszek Canis palustris, wykopano czaszkę bardzo dużego psa, którego Anutesin nazwał Canis Inostranzevi i dopatrzył w nim mieszaniny Canis putiani, lub Canis palustris z dużym wilkiem północnym, zaś Holzheimer widzi w nim czystego wilka zadomowionego. Z psów dzisiejszych zbliża się do niego skandynawski pies na łosie (Elchenhund), oraz te odmiany, które wykazując silną tendencję do skrócenia długości czaszki, charakteryzują się fałdami zbytecznej skóry na ciemieniu, na wargach i powiekach. Są to psy pasterskie, stosowane do obrony stada, dzięki wymiarom ciała i sile, w odróżnieniu od psów owczarskich, służących jedynie do zaganiania stada. Rozszerzone są najliczniej w południowej Europie, jako silne psy pasterskie, bośniacko-hercegowińskie, siedmiogrodzkie i węgierskie „komandory", apenińskie „Cane di pastore", pirenejskie „Mastin'y", wreszcie angielskie, ostrowłose

„Bobtajlaj'e". Drobne odchylenia hodowlane stanowią szwajcarskie bernardyny i stare psy toggenburskie, przehodowane na południowo-niemieckie Leonberg'i. W Ameryce ten sam typ ustalonym został w psie nowofoundlanckim

Do psów pasterskich należał również pies moloski (Canis molossus), o którym częste wzmianki spotykamy w literaturze klasycznej. Pochodził z Epiru, hodowany był w całej Grecji, a znano go w Rzymie. Wyobrażenia jego zachowały się dotąd na lampkach glinianych, płaskorzeźbach i pomnikach, głównie w Watykanie i Florencji.

Drugi typ stanowią dogi, największe co do wzrostu, dochodzą bowiem 70 cm. wysokości. Jestto krew bardzo stara. C. Keller wywodzi je z Indyj Wschodnich. Na wyżynie Tybetu hodują do dziś olbrzymie, czarne dogi, pochodzące prawdopodobnie od czarnego wilka tybetańskiego (Canis niger). Wenecjanin Marco Polo, który w swych podróżach dostał się aż do Tybetu około r. 1300, pisze, że chowają tam psy, dorastające bezmała miary osła, i używają ich do łowów na dzikie jaki. Chińskie kroniki wspominają o psach tybetańskich, używanych do pościgu za rozbójnikami. I w klasycznej starożytności znano dogi indyjskie. Xenofont, Herodot, Diodor, Strabo, Plinius, Curtius o nich wspominają, a Diodor mówi, że Aleksander Wielki w wyprawie do Indyj, dostał w podarunku od króla Sopeitha 150 tych psów. Herodot pisze, że satrapa babiloński obracał dochód z 4 bogatych osad na utrzymanie sfory indyjskich psów, o których i Xenofont wzmiankuje, że były wielkie i silne, a w walce z dzikiemi zwierzętami niezwykle śmiałe.

Na płaskorzeźbach staroassyryjskich widzimy te olbrzymy w scenach z polowań na lwy, dzikie konie i tury. Pochodzenie dogów jest jednak bardzo niejasne. Adametz i Antonius z jednego wykopaliska czaszki wielkiego psa z okresu hallsztackiego w Czechach, wyciągnęli dorywczy wniosek, że dogi zostały wyprodukowane w Europie zachodniej z krwi wilków północnych. Bezsprzeczne dowody istnienia tej rasy w Azji zachodniej w pierwszem tysiącleciu przed Chr. prowadzą do wniosku o wiele słuszniejszego, że raczej Wschód jest ojczyzną doga, nie mówiąc już o Tybecie i tybetańskim wilku czarnym. Domestykacja jego odbywała się raczej w środkowej i północno zachodniej Azji. Potwierdza to zresztą francuski indiolog Howelaque w swem dziele p. t. „Le chien dans le Avesta", mówiąc, że według Zend-Awesty, krzyżowanie psów domowych z wilkami na Iranie zdarzało się w epoce historycznej, a w Baktrji było zjawiskiem powszechnem.

W tych to środkowo azjatyckich ogniskach prastarej kultury, prawdopodobnie wyhodowano dogi. a stąd rozeszły się one na południowy wschód do Tybetu i Wschodnich Indyj, na zachód do Mezopotamji, a stąd do Grecji, gdzie w wyżej wzmiankowanych psach moloskich wyraźnie ich krew widzimy. Z grecką, a wprzód jeszcze, z fenicką kolonizacją zawędrowała ta rasa do Europy zachodniej. W Anglji przeprowadzono dogi w typ krótkogłowy buldogów i bokserów. Z krzyżowania buldogów z dogami, przy doborze co największych jednostek powstał mastiff, najpotężniejszy okaz psiego rodu. Skarlałą formą buldogów są mopsy.

II. Grupa chartów. Holzheimer dopatruje się pochodzenia chartów od szakala Ameryki Północnej, zwanego „Canis lupaster" w przeciwieństwie do C. Kellera, który wywodzi charta od habeszckiego wilka, zwanego „kaberu" lub „walgie" (Canis simensis Rüp), podobnego do chartów ze wzrostu, wysmukłości kształtów ciała i wydłużonej czaszki. Natomiast Antonius i Hilzheimer wilka „kaberu" zupełnie wyłączają z pokrewieństwa z chartem na podstawie raczej lisiego jego uzębienia. Wątpliwość tę przeciąćby mogła jedynie prób kopulacji psa domowego z wilkiem „kaberu", w skutku swym płodna, lub niepłodna.

Że kolebką chartów jest północno wschodnia Afryka, zdaje się nie ulegać wątpliwości. W całej Afryce północnej i w Sudanie do dziś chowają się charty, które dzięki konserwatyzmowi tamtejszych ludów, zachowały swój pierwotny charakter. Jest to z pewnością jeden z najstarszych psów. Na malowidłach w grobach faraonów, widać wielkie charty ze sterczącemi uszami, tak zwane w Egipcie „tesem". Wnosić stąd można, że były rasą popularną u egipcjan, używaną do szczwania zajęcy, antylop i strusi. Domestykacja charta sięga z pewnością kilku tysięcy lat przed dzisiejszą erą. Przy ruchliwych stosunkach handlowych między Cyprem a Kartaginą, Kretą, Grecją a Rzymem, rozszerzyła się ta rasa psów egipskich po północy, przypuszczalnie jednak dość późno, ponieważ Ksenofont w swem dziele o sztuce łowieckiej nic nie mówi o szczwaniu chartami, rzymska zaś literatura wspomina o nich dopiero w okresie Cesarstwa. I wtedy to dostały się prawdopodobnie do Galji, gdzie cieszyły się wielką sympatją Celtów.

Do dziś właściwą kolebką chartów pozostała Afryka podzwrotnikowa, oraz południowa Europa. Potomkowie staroegipskich chartów są maści żółtobronzowej ,jako typ „sziluk" nad górnym Nilem, oraz bardzo podobny doń, lecz mniejszy i jeszcze wysmuklejszy typ „slugh" wśród beduinów afrykańskich i arabskich. Egipskiego również pochodzenia są charty z Krety, wysp Balearskich, Hiszpanji, Sycylji i Włoch. Charty włoskie, zwłaszcza w epoce renensansu były sławne i rozchodziły się za drogie pieniądze po środkowej Europie. Jaką drogą dostały się do południowej Rosji (barzoje) i do Persji (tasi), nie wiadomo. W każdym razie stać się to musiało w późniejszej erze historycznej, płaskorzeźby bowiem mezopotamskie nie dają nam ani jednego wyobrażenia charta.

W Anglji drogą domieszki krwi północnego wilka przeprowadzono charty w silniejszy typ irlandzkiego wolfshounda, szkockiego deerhounda i szarego, angielskiego greyhounda.

III. Typy domowych psów staroamerykańskich. O psach chowanych przez amerykańskich indjan w chwili odkrycia Nowego Świata, nic prawie nie wiemy. Ch. Warwin wzmiankuje, że indjanie północnoamerykańscy chowają psy podobne do tamtejszych wilków (Canis occidentalis) i że krew ich odświeżają często temiż wilkami, chwytanemi za mło-

du i oswajanemi. Indyjski pies myśliwski (hare indian dog) z krótką mordą i krótkim ogonem, jest według Warwina, krewnym bliskim stepowego kujota (Canis latrans). W wykopaliskach staroperuwiańskich znajdowano czaszki i mumje psów, które w Berlinie badał Nehring. Okazało się, że w krainie dawnych Inków chowano trzy różne typy psów. Jeden z nich zbliża się do europejskich, średniej wielkości psów owczarskich; drugi przypomina jamniki, trzeci boksery lub buldogi. Nie mogąc między południowemi wilkami znaleźć żadnego typu homologicznego, przypuszcza Nehring, że wspólnym protoplastą tych trzech ras była południowa odmiana północno amerykańskiego wilka Canis occidentalis, i suponuje, że psy domowe dostały się z północy naprzód do Peru, skąd dopiero rozeszły się po całej południowej Ameryce.

Prof. Dr. F. BILEK.

Spolszczył WŁ. KARNKOWSKI.

USTAWA A RZECZYWISTOŚĆ.

Każda ustawa, pomimo nastręczającej się trudności w jej budowie, o ile nie jest jasno i konkretnie sformułowana, daje organom wykonawczym szerokie pole dokumentowania jej, przeważnie sprzecznego z założeniem autora, a tem samem pozbawia ją właściwej celowości.

W tym wypadku mam na myśli ustawę łowiecką, po długich i ciężkich zmaganiach przed paru laty na świat przybyłą.

Ustalenie kar od minimum do maksimum, za przestępstwa przeciwko prawu łowieckiemu popełnianych osobliwie dla kłusowników, operujących wnykami, sidłami i t. p., niezmiernie trudnych do ujęcia na gorącym uczynku, sprowadza orzeczenia administracyjne lub sądowe istotnie do minimum, czyli wprost do śmiesznej odpowiedzialności za czyny, nietylko pozbawione wszelkiej etyki, ale najbardziej szkodliwe dla zwierzostanu. Przytem udowodnienie wnykarzowi winy, nawet gdy zostanie ujęty w miejscu zastawionych sideł, nie jest dokładne, będzie on miał zawsze zgóry uplanowane tłumaczenie, iż tylko skracając sobie drogę w pewnym kierunku, przypadkowo w tem miejscu się znalazł.

Miałem tego dowód w ostatnim, zimowym sezonie. Przed dwoma laty objąłem dzierżawę majątku z wyłącznem prawem polowania na przestrzeni około 2000 morgów. Na całym tym obszarze dość sprzyjającym dla zwierzyny polnej, zając był rzadkością, a ilość kuropatw nie przekraczała 10 sztuk. Ten stan zwierzyny skłonił mnie do zupełnego zaniechania polowań na dłuższy czas i zaprowadzenia ochrony razem z należytem dożywianiem podczas zimy. Sprzyjające warunki atmosferyczne, zwłaszcza sucha, zeszłoroczna wiosna, wzmogły zabiegi me, dając nader pomyślne wyniki w doprowadzeniu stanu zajęcy i kuropatw do zupełnie zadowalającego.

To też z chwilą pojawienia się pierwszej powłoki śnieżnej w grudniu r. z., nastała istna orgja wnykarzy. Wszystkie laski i zagajenia, obok lub wśród pól położone, pokryte zostały siecią różnorodnych sideł. Specjalny dozorca terenowy mimo swego wysiłku i wyjątkowej gorliwości, nie był w stanie w ciągu doby zebrać wszystkich, misternie rozlokowanych wnyków i sideł, i temu przypisać należy nieheroiczne zakończenie żywota przez kilka zajęcy i kuropatw w pierwszym miesiącu ubiegłej zimy.

Wreszcie główny wnykarz przeliczył się z czasem i gdy o 4 rano przybył po swe trofea, miał niemiłe spotkanie z czatującym na niego dozorcą, i zaskoczony niezbyt czułem przywitaniem, przyznał się bezwzględnie do zastawienia wnyka, w którym spoczywał już martwy zając.

Sam fakt przyłapania głównego wodzireja i obawa, zdawałoby się, uzasadniona surowej odpowiedzialności podziałała piorunująco na resztę towarzyszy jego po fachu, do tego stopnia, iż dalszy ciąg zimy przeszedł pod tym względem w zupełnej ciszy, a wnyków i sideł nie spotykano.

Po złożeniu zaraz podania do starostwa, ze szczegółowym opisem rozwielmożnionego wnykarstwa w powiecie, i osobistego poparcia, spodziewałem sie, że ów bohater zwany Budkiem, ze wsi Sucha, będzie dla przykładu należycie ukarany. Niestety, po paru miesiącach dowiedziałem się, iż wyrokujący w tej sprawie pan referent starostwa węgrowskiego, człek dobrego serca, nie mający na sumieniu żadnego życia zwierzęcego, lubo wyznawcą wegetarjanizmu nie jest, uwierzył Budkowi, iż ten po raz pierwszy w życiu uczynił zamach na zająca i na tej błahej podstawie skazał go na 50 zł. grzywny z zamianą na 7 dni aresztu gminnego. Naturalnie, iż tej skali kara nie zdoła zapobiec potęgującemu się z każdym rokiem wnykarstwu, tak wielce groźnemu dla zwierzostanu, a z drugiej strony skutecznej i ekonomicznej broni w ręku kłusownika.

Sądzę, że gdyby w miejsce kar „od — do", było w ustawie powiedziane wyraźnie, winny po udowodnieniu przestępstwa, podlega karze X., a za każdem powtórzeniem się, kara wzrasta do dwuch lub trzech razy większej, znacznie uprościłoby to całą procedurę, a starostwo lub sąd pokoju miałby za zadanie samo stwierdzenie dowodów przestępstwa i nie wystawiałby swej indywidualności na krytykę.

Obecnie bowiem, przy zastosowanu nieco surowszej kary przez starostwo, oskarżony apeluje do sądu pokoju, tam zaś z powodu nawału innych spraw, ta pozostaje nierozstrzygnięta przez rok lub nawet dwa lata, a kłusownik przez ten czas boki zrywa ze śmiechu, bo jemu nie przysługuje prawo zwykłego podatnika, którego rekurs wprawdzie także po dwuch latach zwykle bywa rozpatrywany, ale ta okoliczność nie zwalnia go od wizyty sekwestratora i zapłacenia podatku w terminie oznaczonym w nakazie.

M. JAWORSKI.

SPRAWOZDANIE Z POKAZU TROFEÓW ŁOWIECKICH WIELKOPOLSKIEGO ZWIĄZKU MYŚLIWYCH.

Wielkopolski Związek Myśliwych urządził w dniach od 15 do 18 marca pokaz trofeów łowieckich z r. 1929 i 1930 w lokalach Związku przy ul. Fr. Ratajczaka 17.

Uroczystego otwarcia pokazu dokonał w niedzielę dn. 15 o godzinie 12-ej prezes p. ppłk. rez. Chłapowski w obecności licznie zebranych przedstawicieli łowiectwa wielkopolskiego, podkreślając w swojem przemówieniu, że skromny ten pokaz nie ma być żadną wystawą i atrakcją dla szerszego ogółu, tylko przeglądem choć części zdobytych trofeów przez członków Związku. Ogółem wystawiono 12 wieńców jelenich, 6 par rosoch danieli, 2 szable dzicze i kilkadziesiąt poroży sarnich. W przeddzień otwarcia pokazu Komisja Sędziowska, złożona z pp.: radcy Stanisława Kurnatowskiego, hr. Hochberga, nadlesn. T. Meyera i wiceprezesa Franciszka Unruga, dokonała dokładnego przeglądu eksponatów i stosując pomiary dla jeleni według tabeli Nadlera, dla kozłów według tabeli Biegera, przyznała nagrody w formie listów pochwalnych WZM następującym wystawcom:

Wieńce jeleni:

I nagr. p. prezesowi Chłapowskiemu za zdobyte w r. 1930 wieńce jelenia szesnastaka, który uzyskał 166,30 pkt.

II nagr. p. nadleśn. Martyńcowi za wieńce jelenia-dziesiątaka, ubitego w nadleśn. Oborniki, który uzyskał 156,44 pkt.

III nagr. p. staroście Narajewskiemu z Kościana za wieńce jelenia - dziesiątaka, ubitego w r. 1930 w państw leśn. Błotkowie, który uzyskał 155,60 pkt.

Poroża sarnie:

I nagr. p. Zygmuntowi Skrzydlewskiemu z Nowejwsi za poroża sarnie, które uzyskały 122,45 pkt.

II nagr. p. Adolfowi Brzeskiemu z Mierzewa za poroża sarnie, które uzyskały 119,80 pkt.

III nagr. p. prezesowi Zakrzewskiemu z Poznania za poroża sarnie, ubite w Iwnie, które uzyskały 104 pkt.

IV nagr. p. Ignacemu hr. Mielżyńskiemu z Iwna za poroża sarnie, które uzyskały 101,2 pkt.

Pozatem przyznała Komisja Sędziowska list pochwalny p. Lehmann-Nitsche z Iłówca za szable dzicze i p. Ignacemu hr. Mielżyńskiemu z Iwna za kolekcję rosoch danieli.

Z ciekawych eksponatów należy jeszcze wymienić 2 ósmaki kozły, ubite przez Olgierda ks. Czartoryskiego w r. 1929 w Czerniejewie — kolekcje myłkusów p. dyrektora Stanisława Paliszewskiego z Poznania i p. Michała Mycielskiego z Gałowa.

Pokaz wzbudził żywe zainteresowanie mimo swoich skromnych rozmiarów, wśród myśliwych naszego województwa i tylko żałować można, że dużo bardzo wybitnych eksponatów nie zostało wystawionych.

KORESPONDENCJA ŁOWCA POLSKIEGO.

Otrzymaliśmy pismo następującej treści:

W związku z artykułem p. Kazimierza Wysockiego, umieszczonym w numerze 11-tym „Łowca Polskiego" z dnia 14 marca 1931 r. proszę uprzejmie Szanowną Redakcję o łaskawe umieszczenie w organie Swym następującego oświadczenia:

Państwowa Rada Ochrony Przyrody, pragnąc udzielić odpowiedzi na apel skierowany do niej w sprawie kwestjonowanej racjonalności odstrzału jeleni w czasie rykowiska, zebrała materjał do niej w drodze ankiety od kilkunastu fachowców, profesorów wyższych uczelni. Ponieważ wszakże rozpisana ankieta nie doprowadziła do uzgodnienia poglądów na tę sprawę, postanowił Wydział Państwowej Rady Ochrony Przyrody dalej sprawę tę badać i poruszyć ją na Międzynarodowym Kongresie Ochrony Przyrody, który w najbliższym czasie odbędzie się w Paryżu. Dopiero po wyczerpującem i wszechstronnem zbadaniu sprawy prosić będzie Państwowa Rada Ochrony Przyrody Szanowną Redakcję „Łowca Polskiego" o umieszczenie odpowiedniego artykułu.

PROF. DR. WŁADYSŁAW SZAFER
Przewodniczący Państwowej Rady
Ochrony Przyrody.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Zapytanie. P. W. S. Jak należy stosować przynętę na koty, tchórze i kuny?

Odpowiedź. Cel przynęty jest doprowadzenie szkodników do pułapek, które powinny być w możliwie największej ilości ustawiane w zagajnikach, a w szczególności na terenach, gdzie są bażanty. W tym celu w zagajniku przeprowadza się w odstępach około 50 metrów, równoległe rowki, połączone na końcach skośnie pomiędzy sobą. W środku ścieżek na linji prostej ustawia się pułapki, a na ścieżkach posypuje się proszek-przynętę w odstępach od jednego metra do paru, przyczem im bliżej pułapki, tem gęściej. Bardzo wskazane jest posypywanie przynęty również i na drogach okalających zagajnik czy też bażantarnię, zawsze jednak w ten sposób, by szkodnik naprowadzany był na ścieżki wiodące do pułapek. Ilość proszku posypywanego w jedno miejsce nie przekracza szczypty, jaką wziąć można w dwa palce; można ten proszek rozpylać specjalną dmuchawką, podobną do tej, jaką się używa do proszku perskiego. Im powietrze jest wilgotniejsze, tem odór wydzielany przez przynętę, jest silniejszy i działanie jej jest tem pewniejsze.

Poniżej podajemy opinję o stosowaniu powyższej przynęty znanego myśliwego i hodowcy p. Żelazowskiego.

Do Instytutu Łowiectwa w Warszawie,
Ul. Nowy Świat 35.

W odpowiedzi na pismo WPanów z dn. 14 b. m. w sprawie wydania naszej opinji o działaniu przynęty na koty i tchórze, dostarczonej z Instytutu Łowiectwa, komunikujemy z zadowoleniem, że zastosowanie przynęty przy tępieniu wyżej wymienionych szkodników dało b. dobre rezultaty, gdyż bażantarnik w ciągu 2-ch tygodni złapał w pułapki i zastrzelił kilkanaście kotów, kilka tchórzy i parę kun.

Z poważaniem
ZARZĄD DÓBR ZEGRZE.
(—) B. ŻELAZOWSKI.

Wiadomości bieżące.

Wędrówka ptaków.

W dniu 29 grudnia r. b., na stawach gospodarstwa rybnego Żabieniec, należącego do dóbr Wilanowskich, a położonego pod Piasecznem koło Warszawy, rybak, p. Feliks Maciążek, zastrzelił czaplę.

Na nodze czapli znajdowała się obrączka aluminjowa z napisem: Vogelwarte, Rossiten, Germania, B. 25182.

Zarząd dóbr Wilanowskich nadesłał obrączkę sekretarjatowi Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, który przesłał ją następnie wymienionej stacji kontrolnej z prośbą o podanie daty zaobrączkowania i wypuszczenia czapli.

Na całej niemal kuli ziemskiej rozrzucone są stacje kontrolne, których zadaniem jest obserwacja i naukowe badanie wędrówki ptaków.

Jest rzeczą nader ciekawą, jak dalekie nieraz podróże odbywają ptaki i gdzie szukać wytłumaczenia tej wędrówki.

Warunki klimatyczne, tak zresztą w ciągu lat ostatnich zmienne w krajach środkowo-europejskich, są niewątpliwie ważką przyczyną wędrówki ptaków.

Niemniej jednak istnieją przyczyny inne, w których badaniu i naukowem sprecyzowaniu podstawę stanowi właśnie obserwacja stacyj kontrolnych.

W ciągu ostatnich lat zabito w Polsce, jak nam wiadomo, obrączkowanych kilka dzikich kaczek, wron, jastrzębi, oraz czapli. We wszystkich tych wypadkach obrączki odesłano pod właściwemi, wyrytemi na nich, adresami.

Byłoby dla obserwacji wędrówek ptactwa dzikiego nader pomocnem, aby myśliwi, którzy znajdą takie obrączki na nóżkach zabitych przez siebie dzikich ptaków, odsyłali je do właściwych stacyj kontrolnych, podając przytem dokładnie czas i miejsce upolowania tych ptaków.

O wędrówkach ptaków i ich badaniu przy pomocy obrączkowania obszernie pisał p. prof. Domaniewski w N-rach 16 i 17 Łowca Polskiego z r. b.

Z artykułu tego przytoczymy tylko, że w Polsce istnieje również stacja badań wędrówek ptaków przy Państwowem Muzeum Zoologicznem, w Warszawie (Krakowskie Przedmieście Nr. 26/28). Stacja ta chętnie pośredniczy w odsyłaniu znalezionych obrączek pod właściwemi adresami.

jb.

— **Zwierzyniec w Częstochowie.** — Przy gimnazjum państwowem im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie, istnieje od lat kilku zwierzyniec, utrzymywany szlachetnym wysiłkiem uczniów, członków gimnazjalnego Kółka Przyrodniczego, któremu patronuje profesor przyrodnik, p. Edward Pawłowski. W zwierzyńcu znajdują się następujące okazy: 2 wilki, 1 jeleń, 1 niedźwiedź, 1 dzik, 1 osioł, 1 daniel łania, 1 sarna, 2 lisy, 2 borsuki, 2 orły, 2 pawie, 3 sowy, 5 jastrzębi, 3 bażanty, 1 kuropatwa, 2 gołębie, 4 synogarlice, 1 świnka morska, 2 małpy, 6 królików, w tem 1 angorski, 1 perkoz. Wilki i niedźwiedzie mają klatki żelazo-betonowe, wysokie na 4 metry. Każda klatka zaopatrzona jest w miskę z wodą i deskę, na której kładzie się pokarm.

Zwierzyniec otwarty jest dla szerszej publiczności za opłatą 50 gr. i 30 gr. W sprzedaży są fotografje zwierząt ze zwierzyńca.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

Dzielny gajowy. W czasie tegorocznych roztopów wiosennych załamali się na lodzie i wpadli do wody dwaj strzelcy z K. O. P. w pełnem uzbrojeniu i poczęli tonąć. Groźną tę sytuację zauważył gajowy z Chutory Budy, Paweł Boryczewski, który, pomimo, że go czekała niechybna śmierć, gdyż lód na kanale był kruchy, podczołgał się na skraj otworu i wyciągnął jednego z tonących, strz. Wlazłę Stefana. Drugi żołnierz utonął. Wyratowanemu udzielił gajowy Boryczewski w swojem mieszkaniu pierwszej pomocy, zawiadomił dowódcę strażnicy K. O. P. o wypadku, dopomógł przy odszukaniu zwłok ś. p. strz. Idziaka i broni obydwóch.

Dowódca Korpusu Ochrony Pogranicza wyraził dzielnemu gajowemu pisemne uznanie, przedstawił wniosek o odznaczenie go „Medalem za ratowanie ginących", oraz przyznał nagrodę pieniężną w wysokości stu złotych.

Wiadomości handlowe.

NOWY WYNALAZEK.

W dziedzinie techniki, daje się zauważyć z każdym dniem, znaczne posunięcie się naprzód, udoskonalenie pod każdym względem z powodzeniem coraz nowszego wynalazku. Zasadnicze to zagadnienie znalazło należyte rozwiązanie w konstrukcji pióra „Pikaro", którego *szklana stalówka* oddaje nieocenione usługi. „Pikaro", jak każde inne wieczne pióro, pisze bez maczania w kałamarzu, jedynie samym zapasem atramentu, zawartym wewnątrz obsadki. Charakterystyczną cechą tego pióra jest zastosowanie w stalówce *szkła*, jako materjału wysoce twardego i odpornego na rdzę, a zarazem taniego i łatwowymiennego. Dzięki temu pióro „Pikaro" pisze bardzo lekko, na papierze zarówno gładkiem jak i szorstkim, a nierozdwojona stalówka nie zatrzymuje włókien papierowych, oraz całkowicie wyłącza wszelkie zahaczenia się. Najważniejszą jednak zaletą pióra „Pikaro", która czyni je niezastąpionem, jest umożliwienie pewnego *nacisku na papierze*, co pozwala na odpisy pod kalką, bez żadnej szkody dla oryginału. Tych kilka zalet, pozwoli nam w zupełności dać możność przekonania się, a więc zwróćmy uwagę na podane na str. 599 ogłoszenie „Pikaro".

O DOKŁADNY ADRES.

Sz. P. Prenumeratorów prosimy o dokładne podawanie nam adresów. Adres ma zawierać: imię, nazwisko, miejscowość, pocztę i województwo (powiat zbyteczny).
Prenumeratę wysyłać najlepiej na konto czekowe w P. K. O. Nr. 80-82.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.
CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery—po 20 gr., najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.
W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów.
Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem.
Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

OGŁOSZENIA DROBNE.

Jaja bażancie od 1 czerwca po zł. 1,— opakowane, loco Stryj, sprzedaje Małopolska Hodowla Zwierzyny w Łukawicy p. Stryj.

Seterka irlandzka w pierwszem polu, dobry węch i karna do sprzedania. W. Goławski, Oszmiana, Piłsudskiego 31.

Wystawa z wyników Tresury Wyżłów Wszechstronnych, krótkowłosych, długowłosych i szorstkowłosych na suchem, zaroślach i wodzie przy zwierzynie. Sprzedaż do użytku gotowych wyżłów, oraz szczeniaków siedmiotygodniowych z potomstwa „Tropa" (rycina i wynik „Łowiec Polski" z dnia 11 października 1930 r. strona 834) i „Azy" biało-brunatnej wyżlicy polskiej, przyjmowanie świeżych kandydatów do tresury odbędzie się w **niedzielę dnia 19 lipca 1931 roku**, począwszy o godzinie 15-ej w Okólniku **„Wyżeł Polski" w Mrozach**, na którą JWPaństwa Myśliwych jaknajuprzejmiej zaprasza właściciel i kierownik Marcin Andrzejewski. Dojazd: Koleją Warszawa — Mińsk Mazowiecki, autem Warszawa — Mińsk Mazowiecki, Kałuszyn — Mrozy. Tor kolejowy Warszawa — Brześć N/B. Centralny. Wstęp 2 złote na pokrycie kosztów i zakup świeżych terenów.

Wyżeł niemiecki krótkowłosy w czwartem polu, bardzo dobry, po wysoko rasowych rodzicach. Cena 350 złotych. Wyżełki dwumiesięczne po nagrodzonych rodzicach na konkursach wyżłów dowodnych po 50 złotych. Przy zapytaniach proszę o znaczek pocztowy. Ciupiński. Lechlin, poczta Skoki. Poznańskie.

Wyżła czystej rasy (niemiecki pointer) oddam na wieś w dobre ręce. Marszałkowska 94, m. 5.

Książki myśliwskie.

Następujące dzieła są do nabycia w redakcji **z ustępstwem 15% dla prenumeratorów „Łowca P.":**

Głuszec, monografja B. Świętorzeckiego z rysunkami Włodzimierza Korsaka — Cena 2,00 zł.

Nasze skrzydlate drapieżniki: Gołębiarz, krogulec, sokół wędrowny. Monografja myśliwsko-przyrodnicza Władysława Gürtlera — 2,30 zł.

Wilk, monografja Bolesława Świętorzeckiego — 3,00.

Cietrzew, monografja Włodzimierza Korsaka. Praca odznaczona I nagrodą na konkursie literackim, z przedmową red. Juljana Ejsmonda — 2,50 zł.

Jak unikać wypadków z bronią? — Jana Sztolcmana. — 25 gr.

Podręcznik do zbierania i konserwowania zwierząt — d-ra Władysława Polińskiego zesz. 1 — 1.40 zł.; zesz. 2 — 2.50 zł.; zesz. 3 — 1,20 zł.; zesz. 4 — 50 gr.; zesz. 5 — 1,00 zł.; zesz. 6 — 2,00 zł.; zesz. 7 — 2,00 zł.

Jana Sztolcmana: 1) „Żubr" — 3,30 zł. 2) **„Nad Nilem Niebieskim"** — 6,00 zł.

Ze strzelbą na ramieniu — A. hr. Rzewuskiego — 8 zł.

W stepach i puszczach — Władysława Czerniejewskiego — 1.00 zł.

Wł. Janty Połczyńskiego: 1) „Św. Eustachy"—3,00 zł. 2) „Polująca Pani"—3,50 zł. 3) „Estetyka Łowiectwa" — 2,00 zł.

Obrazki Łowieckie — E. hr. Krasińskiego — 3 zł.

„O świcie" — Aleksandra Janty Połczyńskiego — 4 zł.

Kazimierza hr. Wodzickiego „Wspomnienia z życia łowieckiego". — 7 zł. (Dla PP. Prenumeratorów „Łowca Polskiego" 25% rabatu). **„Skowronek"** — 3.60 zł. **„Kruk"** — 4.50 zł. **„Słonka"** — 4 zł.

J. W. Kobylański. **„O zwierzyńcu w Katowicach"** 3 zł., **„Jak powstał w Odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie"** 3 zł., **„O zwierzyńcu w Malinowszczyźnie"** 1 zł., **„O dawnym i obecnym zwierzyńcu w Krakowie"** 1,50, **„O zwie-rzyńcu w Częstochowie, Grodnie, Katowicach, Krakowie i Lesznie"** 1 zł., **„Humor i łacina myśliwska"** 1,50.

Za zaliczeniem najmniejsza dopłata — 1.40 zł.

Za przesyłkę poleconą (przy wpłacie zgóry) — dolicza się 90 groszy.

WAŻNE DLA PP. PRENUMERATORÓW.

POSIADAMY jeszcze na składzie **niewielką ilość** numerów pojedyńczych **„Łowca Polskiego"** od początku roku bieżącego.

Pp. Prenumeratorom możemy w ciągu bieżącego miesiąca wysłać żądane numery pojedyńcze w cenie po 1 zł.

Nowoprzybywający Pp. Prenumeratorzy otrzymać mogą komplet numerów **„Łowca Polskiego"** za pierwsze półrocze r. b. w cenie zł. 25.

Posiadamy również **ograniczoną ilość** roczników **„Łowca Polskiego"** z lat 1927, 1928, 1929 i 1930, w cenie złotych 50 za kompletny rocznik.

Przy zamówieniach prosimy wyraźnie żądane numery wyszczególnić..

Za przesyłkę pocztową dodatkowych opłat nie doliczamy.

ADMINISTRACJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.